№ 31. Warszawa, dnia 23 Lipca (4 Sierpnia) 1888 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60 kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalne, rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złr. 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

DESZCZ I POGODA.

Pewnego poranku, a miałem wtedy dwadzieścia ośm lat i cieszyłem się jeszcze kawalerską swobodą, przebudziłem się w sposób wcale nieprzyjemny a to z dwóch przyczyn: deszcz bił gwałtownie w okna mego sypialnego pokoju i stara Maryanna oddała mi list, napisany w tych słowach:

„Pański współsukcesor, pan Mirbault, nie chce się zgodzić na projekt podziału, który przedstawiłem mu stosownie do upoważnienia pana, chociaż pochlebiam sobie, że go ułożyłem z całą możliwą bezstronnością, i wymaga ażeby zostały w nim porobione w jak najkrótszym czasie gruntowne zmiany; w razie odmowy pana co do tego, jest zdecydowany użyć wszystkich prawnych dróg do pozyskania prawa sprzedaży dóbr pochodzących z sukcesyi po B... Zechciej pan przysłać mi swoje upoważnienie, abym mógł zająć się procesem, który pan Mirbault chce panu wytoczyć, a który mam nadzieję, szczęśliwie zakończyć dla pańskiego interesu."

Nie potrzebowałem tego wszystkiego, żeby wpaść w najgorszy humor, choruję gdy deszcz pada a procesów niecierpię. Na nieszczęście nie miałem żadnego wpływu na atmosferę i musiałem pozwolić deszczowi padać, lecz mogłem, przekonawszy się dokładnie o moich prawach i mego przeciwnika, zażegnać proces, który mnie przerażał; nie wahałem się zatem ani chwili.

Małe miasteczko S., w którem umarł pan B., znajduje się o piętnaście mil od Paryża. Pan Mirbault mieszkał na wsi cztery czy pięć mil dalej. Umyśliłem jechać natychmiast, ażeby się naradzić z moim plenipotentem, a gdyby tego zaszła potrzeba, być u p. Mirbault, wytłomaczyć mu cały ten interes i z nim samym się porozumieć.

Ale ta podróż zmieniała moje projekta o które mi bardzo chodziło i wcale nie mogłem się spodziewać, żeby była przyjemną w tak okropny czas.

Nie było także do S. kolei żelaznej, kazałem więc Maryannie żeby poszła nająć mi konia.

Maryanna spojrzała na mnie osłupiałym wzrokiem:

— Ah Boże! Czy mi to pan naprawdę daje takie polecenie?

Maryanna była sześćdziesięcioletnią starą panną, która służyła jeszcze u mojej matki i znała mnie od urodzenia i gdy z całej rodziny sam się zostałem nie chciała mnie wcale opuścić. Zdawało jej się rzeczą zupełnie zwyczajną, gdy żądałem, aby mi podała śniadanie, ale posyłać ją po konia!...

— Masz słuszność — odrzekłem, i dodałem z rozgniewaną miną: — Otóż to tyle się zyskuje będąc obsługiwanym przez kobietę!

Za całą odpowiedź Maryanna zaczęła płakać, co ją w moich oczach uczyniło jeszcze śmieszniejszą i nieznośniejszą; prosiłem ją ażeby poszła do kuchni i schowała się ze swojemi łzami; poczem poszedłem sam do ujeżdżalni, wybrałem konia na którym zwykłe jeździłem na spacer, okryłem się jak mogłem najlepiej dużym płaszczem i puściłem się w drogę.

Myśli, które mnie w drodze opanowały, tak samo były ponure, jak przesuwające się po niebie chmury, zaczem się rozpłynęły deszczem na ziemię, i zdawało mi się, że zapanowała zupełna harmonia pomiędzy mojem usposobieniem a tem wszystkiem co mnie otaczało.

Prosto ciągnąca się przedemną droga, wydawała mi się czemciś niedorzecznem, a zieloność drzew i trawy nadto monotonną. Pośród dochodzących do moich uszów krzyków i śpiewów, ptaków i zwierząt; pośród odzywających się zewsząd dźwięków natury, odróżniałem tylko krakanie kruków, gdakanie kur, szczekanie psów i wycie wiatru, fizyognomie rzadko spotykanych podróżnych, którzy zapewne nie bardzo byli radzi, że są przemoczeni do nitki, robiły na mnie złowrogie wrażenie. Pilno mi było stanąć już na miejscu i nagle moja niecierpliwość objawiła się bardzo wyrazistem zaklęciem, któremu towarzyszyło gwałtowne uderzenie ostrogami w bok mego wierzchowca.

Bébé, tak się koń nazywał, nie był przyzwyczajony do podobnie gburowatego obejścia, to też dał mi poznać wierzgnięciem swoje niezadowolenie. Podwoiłem dozę i nastąpiła jeszcze gwałtowniej-

sza protestacya. Do uderzeń ostrogami dołączyłem uderzenie szpicrutą i mnóstwo przydomków, jednych gorszych od drugich, przyrzekając sobie, że już nigdy nie wybiorę tak narownego konia. Ta walka nie mogła trwać długo, ale z nas dwóch Bébé pokazał więcej rozumu i puścił się galopem. Widziałem, że nadeszła chwila w której będę musiał w ten jego pośpiech znowu zastosować tę samą karę, którą otrzymał za powolny chód. Szczęściem dla niego a może i dla mnie stanęliśmy w miasteczku.

Nie widziałem nigdy miejscowości tak nieprzyjemnie się przedstawiającej jak miasteczko S. Ulice były puste, w domach okna pozamykane przed deszczem, wystawy sklepów pozasuwane okienicami, bruk zniknął pod warstwą błota, którem za każdem stąpnięciem Bébé mnie obryzgiwał; przytem różnej wysokości domy raziły moje oko, jak również niedokładność ich równej linii i czułem jak na widok nieforemnych placów ogarniało mnie nagłe i gorliwe zamiłowanie w symetryi. Wreszcie tutaj to mieszkali: plenipotent mój p. Mirbault, adwokaci, woźni, patroni mający prowadzić naszą sprawę, która się stała o tyle zawiłą, że nawet nie mogła być zrozumianą przez interesowane w niej osoby. Jednem słowem, tutaj to zgromadzone były wszystkie czarne osobistości pieniactwa.

W tak okropną niepogodę i z takiemi widokami na przyszłość, można sobie wystawić, że wcale nie byłem usposobiony do błąkania się długo po mieście, ale dotychczas spotykałem same karczmy tylko.

— Panie! — zapytałem się nagle jakiegoś piekarza, stojącego na progu swego domu z założonemi rękami i z oczami wpatrzonemi w niebo, jak gdyby chciał rachować krople deszczu spadające ztamtąd — czy nie ma hotelu albo oberży w której z tych chałup?

Piekarz rzucił na mnie okiem pełnym oburzenia, obrócił się do mnie tyłem i znikł w głębi swego sklepu. Widocznie musiał być rodem z tej miejscowości.

— Otóż to! — zawołałem — bardzo tu są grzeczni i uprzejmi ludzie!

Nie zastanowiłem się ani na chwilę, że to ja sam znalazłem się impertynencko względem pierwszego spotkanego mieszkańca.

Na koniec na froncie jednego domu, który za pierwszym wejrzeniem zrobił na mnie wrażenie nędznego szynku, zobaczyłem szyld z napisem: *Hotel pod Łabędziem z krzyżem.* Nad niem znajdował się złoty krzyż, na który biały łabędź założył swoją długą szyję.

— To też szczególny koncept, drogocenna próbka rozumu tutejszych mieszkańców!

Wszedłem do domu wzruszając ramionami.

— Derę, miarę obroku dla konia; pokój dla mnie, niech go wprowadzą do stajni; ognia, obiad, prędko.

Wydawałem te rozkazy tak szybko i w sposób tak niezrozumiały, że posługujący chłopiec, do którego mówiłem stanął osłupiały; znajdując że ma głupowatą minę i powtórzywszy mu mój rozkaz, pomyślałem sobie:

— Idyota!

Nadszedł sam właściciel hotelu, który wydał mi się pospolitym i uniżonym, gdyż mówiąc do mnie trzymał czapkę w ręku.

— Czy pan będzie jadł obiad przy wspólnym stole? Mamy bardzo porządne towarzystwo: komisanci handlowi, kupcy, artyści, kapitaliści...

— To jest gaduły, worki napełnione pieniędzmi, bazgracze i rycerze przemysłu. Będę jadł obiad w moim pokoju.

— Co pan sobie życzy, żeby podać? Ostrygi, wołowinę, cielęcinę, baraninę, wieprzowinę, króliki, indora, kurczęta, kaczki, morską rybę, szczupaka, raki morskie, szparagi, kalafiory, karczochy, zielony groszek, jaja, sałatę...

— Przyślij mi pan kuropatwę.

— Kuropatwę w tej porze? Tego nie mamy.

— Nie ma kuropatwy? A to mi piękny hotel, w którym nie ma co do ust wziąć!

— Czy pan pozwoli żebym na nowo zaczął wyliczać spis potraw? — zapytał gospodarz z niezachwianą zimną krwią. Nie wydawał mi się już tak uniżonym jak przedtem, ale coś jakby... zuchwałym.

— Każ mi pan podać co chcesz, byle prędko i smacznie.

I żeby nie wybuchnąć gniewem, który się we mnie już podnosił, poszedłem prędko do wyznaczonego mi pokoju.

— Co to za okropna dziura? — zawołałem.

— To najlepszy nasz pokój, proszę pana, wcale nie dziura...

Wzruszyłem ramionami, zrzuciłem płaszcz z siebie i zacząłem gwałtownie dzwonić.

Ukazał się chłopiec niosąc kosz drzewa.

— No, a ogień?

— Zaraz rozpalę.

— A obiad?

— Jak tylko napalę ogień, przyjdę nakryć stół.

— Co to za dom! Zaczem co przyniosą można by z dziesięć razy zmarznąć i umrzeć z głodu.

Ogień zaczął trzaskać na kominku, znajdowałem, że jest za gorący; chłopiec nakrywał do stołu, lecz obrus wydawał mi się wątpliwej białości, talerze źle wytarte, a szkło, że nosi ślady wcale nie apetyczne.

— Jak to nazywacie?

— Bulion, proszę pana.

— Powiedz raczej ciepła woda i to jeszcze...

Zagłębiłem nóż w plaster wołowiny.

— A cóżeście mi dali, kawał skóry?

Kręcąc się zniecierpliwiony, potrąciłem w łokieć chłopca nalewającego mi wino, które się rozlało po obrusie i na moje ubranie.

— Niezgrabiasz!

Gospodarz przyszedł zapytać się czy jestem zadowolony.

— Jestem oburzony! Nie dosyć, że trujecie podróżnych, ale jeszcze macie chłopaków, którzy niszczą im ubranie.

Gospodarz nieodpowiedział ani słowa, trzymając ciągle czapkę w ręku; to zachowanie się jego i milczenie rażąc mnie, wydawało mi się w tej chwili ostatnią bezczelnością z jego strony.

Poszedłem do mojego plenipotenta, ale go nie zastałem i proszono mnie, abym zaczekał na niego kilka minut. Zdawało mi się zadziwiającą rzeczą, żeby plenipotent pozwalał sobie wychodzić z domu, że nieprzewidział mojego przyjazdu, ani godziny, w której spodoba mi się przyjść do niego.

Nakoniec przyszedł, przywitałem go z wymuszoną miną, na którą odpowiedział mi bardzo zimnem obejściem i wielką wstrzemięźliwością w mowie, co mi nasunęło na myśl wniosek, że jest-to człowiek niemający żadnej światowej ogłady, kiedy nie ma uśmiechu na zawołanie, rozmawiając ze swemi klijentami, zasilającemi jego kasę.

Zażądałem wyraźnego i prawdziwego wykazu moich praw i pana Mirbault, a gdy plenipotent zaczął mi wyliczać jak najdrobniejsze szczegóły tyczące się tego interesu, zacząłem mu zarzucać, iż opowiadanie jego jest zanadto rozwlekłe i prosiłem go, aby je mógł skrócić. Stał się więc bardzo lakonicznym co mi się znowu także niepodobało, że się zbyt zawile wyraża. Na każde jego dowodzenie miałem gotowy zarzut, ganiłem to wszystko co dotychczas zrobił, czego nie zrobił, co powinien był zrobić. Skończyło się na tem, że zawsze równie dla mnie zimny i sztywny poszukał moich akt i oddał mi radząc, że kiedy przyjechałem do S., żebym sam dalej prowadził moją sprawę.

— Tak też zrobię z pewnością — odpowiedziałem mu na to.

I opuściłem go w tem przekonaniu, że źle zrobiłem mając w nim zaufanie.

(*Dokończenie nastąpi.*)

Moja cyganka.

Z cygańskich szatr,
Moja dziewczyna,
Chyża, jak wiatr,
Gibka, jak trzcina.

Do kolan włos,
Ogień w źrenicy,
Perlisty głos,
Młodej wietrznicy.

W tem jednem, wierzę,
Nie była płocha,
Mówiąc mi szczerze
Codzień, że kocha.

Kiedy szumiała,
Puszcza nad rzeką,
Jej myśl się rwała
W przestrzeń daleką.

A kiedy była
Cisza mdlejąca,
To się płoniła
Nieśmiała, drżąca.

A gdy zapłacze
Przyroda cała,
Piosnki wieśniacze
Do snu śpiewała.

J. Kuczyński.

PRZESILENIE.

PRZEZ

Maryę Napieralską.

(Dalszy ciąg.)

Kareta zatrzymała się przed wspaniałą kamienicą na Krakowskiem-Przedmieściu. U wejścia czekał wygalonowany lokaj.

— Czy panie same?

— Same, proszę jaśnie pana.

Z biciem serca wstępowałam na wschody pierwszego piętra, wysłane dywanami. Na ich końcu czekały z uśmiechem dwie wysokie, wykwintnie ubrane kobiety. Odgadłam w nich ciotkę i Hortensyę.

— Witaj, witaj, droga Zosiu—ozwała się pierwsza całując mamę.

— Bez przedstawienia poznaję twą córkę, jako żywy portret twego męża.

I wycisnęła na mem czole długi pocałunek.

— Z radością poznaję, cię ciociu — rzekłam pochylając się do delikatnej, mięciutkiej, chłodnej przez pierścionki ręki, kuzynka Hortensya uścisnęła mi obie dłonie. Po załatwieniu ceremonii powitania, przeszliśmy do sali jadalnej. Tutaj znów nastąpiły ciekawe spojrzenia, przynajmniej z mej strony. Z równą bacznością śledziłam swobodne, zręczne ruchy ciotki i Horci, jako też bogatą zastawę stołu i eleganckie umeblowanie. Układ ciotki pełen wdzięku zniewalał ku niej, choć rzeczywiście według opowiadania mamy, usta były mocno zaciśnięte, jakby z bólu, oczy połyskiwały zimno, lodowato, jak gdyby ciepło uczuć słodkich, rozkosznych ulotniło się bezpowrotnie. Ciotka moja była jeszcze piękną, ale pięknością marmuru. Horcia nie była całkowicie podobną, ani do swej matki ani do ojca, stanowiąc typ odmienny, chociaż nieco zbliżony. Postawę wysmukłą, rozwiniętą, odziedziczyła po matce, żywością szarych, głęboko osadzonych oczu przypominała barona. Szerokie rozgałęzione, czarne brwi, właściwsze byłyby dla mężczyzny. Czoło wysokie, ocienione zwojami złocistych, lekko rudawych włosów, rysowało się dumnie, wyniośle. Groźne musiało być w chwili zmarszczenia lub gniewu, chociaż w tej chwili zwierciadliło się pogodą. Szyja odznaczała się klasyczną pięknością. Tualeta zastosowana nie tyle do mody, ile do uwydatnienia tego rodzaju urody, pozwalała podziwiać śnieżną białość niemal.

Po zjedzeniu kolacyi i dość zwyczajnej rozmowie, nieodzownej przy pierwszem spotkaniu, Horcia bez ceremonii biorąc mnie pod rękę rzekła:

— Zostawmy tu rodziców na poważnych rozprawach, a same pójdźmy na drugie piętro, gdzie pokażę ci twój pokój.

— Ale, ale Horciu! — ozwał się baron, w trakcie pozdrowienia córki na dobranoc. — Spotkaliśmy się na stacyi z panem Witalisem. Nie mogąc sam przyjść dzisiaj, zasyła ukłony.

— Dziękuję — odpowiedziała Horcia.

Czułam znów rumieńce na mej twarzy. Jakto? ona z taką obojętnością w głosie dziękuje za ukłony tego pięknego młodzieńca? Jednak mówiąc — dziękuję — ścisnęła mnie mimowolnie za rękę.

Spojrzałam na nią badawczo, nie rozumiejąc wcale tego uścisku. Cóż on właściwie miał oznaczać? Już przy wejściu na drugie piętro, Horcia roześmiała się, zrozumiawszy może nieme pytanie z mej strony.

— Cóż tak patrzysz na mnie, kuzynko? Nie znasz mnie wprawdzie, ale taki szczególny wzrok. — Otóż — mówiła dalej — nasze apartamenta. To mój i zarazem twój buduar.

— Wygląda jak śliczne, różowe cacko — zawołałam, zatrzymując się przy marmurowej konsoli, zapełnionej albumami.

— Pójdźmy dalej, pokażę ci twą sypialnię, położoną obok mojej.

Majestatyczna jak królowa, poszła naprzód przez duży, cały miękko wysłany pokój. Ciemno zielone obicia, mnóstwo ślicznych, niepospolitych krzewów, ślicznej formy łóżko osłonięte draperyą koronkową, tworzyły doskonałą całość. Na jednej ze ścian wisiała przepyszna kopia Madonny Murilla. Przejęło mnie to nagle uwielbieniem.

— Jaki piękny obraz!

— O! tak — potwierdziła Horcia patrząc razem ze mną. — Wiele tu łagodności, jaki spokój ducha przebija się przez to Bozkie oblicze. Żadna walka, żadna namiętność nie kazi czystości tych rysów. Jakże ludziom daleko do osiągnięcia chociaż w setnej części takiego stanu. Nie możemy ani na chwilę oderwać się od ziemi, przykuwającej nas do siebie różowymi kajdanami ponęt.

— Horciu, jakie poważne myśli przesuwają się w twym umyśle.

Coś, jak westchnienie zabłąkało się na usta zapytanej.

— Czy myślisz, kuzynko, że umiem tylko stroić się, bawić wachlarzem i tańczyć?

Roześmiała się, odgarniając ręką włosy.

— Wam, pannom mieszkającym na wsi, zdaje się, że kobiety światowe muszą być lalkami, bez serca, bez duszy, tchnące jedynie sztucznem życiem salonu. Tobie, siedmnastoletniej zaledwie, mówi dwudziestoletnia panna, że w każdej sferze istnieją dobre i złe strony, że jednako pod stanikiem płóciennym, jak i aksamitnym, może smutne westchnienie unosić piersi, że czoło spoczywające na kosztownych wezgłowiach jest tak samo napierane burzliwemi myślami, jak inne, w ciężkim trudzie pracujące. Tak wświecie ludzi biednych jak i bogatych, zarówno istnieją cele trudne do osiągnięcia. Nie mniemaj, kuzynko, aby złocone pokoje i barwne tualety stanowiły fundament szczęścia. Niekiedy chciałoby się rzucić to wszystko i biedz w świat chociażby o chłodzie i głodzie, byle uchwycić to, czego się pragnie.

Urwała nagle i ze słabym uśmiechem rzekła już spokojniej.

— Ale na cóż mówię to wszystko tobie, dzieciakowi? Poznasz kiedyś sama... chociaż może życie uchroni cię jako od tego.

Zamyślona nic nie odpowiedziałam, stanąwszy na progu mej błękitnej sypialni, urządzonej na podobieństwo poprzedzającej.

— Oto miejsce do marzeń — mówiła z większem ożywieniem Horcia. — Tutaj, w czasie karnawału będziesz spędzała więcej dni niż nocy. Lubisz bale, prawda?

— Ah! — zawołałam promieniejąc.

— To też często, bardzo często będziesz wychodziła z tego pokoju strojna jak nimfa, woniejąca jak bukiet kwiatów — ciągnęła ze śmiechem. — Nad ranem będziesz wracała zmięta, zmęczona, niepragnąca niczego już nad sen i pokrzepienie. Są takie damy, które nie widują prawie słońca, bo podczas, kiedy inni krzątają się, pracują, one toną w puchach, odpoczywają, po czem? po całonocnem próżnowaniu.

— Czy pan Witalis bywa na balach u wujostwa? — zagadnęłam.

— Cóż on ma wspólnego z twymi planami zabawy? — pytała z kolei Horcia tonem zdziwienia.

Przy tych słowach, ostre, przeszywające spojrzenie utopiło się w mych źrenicach.

— Bardzo przystojny mężczyzna — szepnęłam zmieszana — a ty Horciu, jak go znajdujesz?

— Ja? Ah! to już tak późno — odrzekła z nadzwyczajną szybkością, spoglądając na zegarek. — Dobrej nocy, kuzynko, śpij smacznie.

Dotknęła ustami mej twarzy i znikła za kotarą, lecz ja nie mogłam później zasnąć smacznie. Daremnie mrużyłam oczy na posłaniu z batystów i koronek. Ani wygoda, ani zbytek dokoła panujący, ani nakoniec zmęczenie nie przyczyniły się do udzielenia spokoju. Rozbujana fantazya, stawiała mi coraz nowe widoki. Widziałam się pływającą w jakiejś przestrzeni bezgranicznej. Tu i owdzie dobiegały mych uszu śmiechy szyderskie, to znów szepty miłosne. W tajemniczym jakimś, mglistym obłoku widniała wspaniała postać Witalisa ze skrzydłami u ramion. Wyciągnęłam doń ręce, ale nagle blada, groźna twarz Hortensyi przeraziła mnie, zmuszając do cofnięcia się. Za mną, gdzieś w oddali rysowała się Wólka i moja matka z załamanemi rękami. Duszno mi było i ciężko. Gdy pierwsze blaski zimowego świtu wtargnęły przez zasłonę, dopiero straciłam świadomość myśli.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Z KRAINY PIĘKNA.

Wśród nowych utworów nadesłanych Towarzystwu zachęty sztuk pięknych, zwraca ogólną uwagę: **Pogrzeb Gedymina**, obraz Kazimierza Alchimowicza, przedstawiający powrót Litwinów z pod Wielony, ze zwłokami wielkiego bohatera.

Co skłoniło artystę do oddania tej chwili i tego motywu, śmiesznem byłoby pytać, każdemu bowiem służy prawo dobierania sobie treści do utworów, według własnego uznania. Wolno nam jednak żałować, iż kompozycya na szerszą skalę obmyślana, nie uplastyczniła jakiejś chwili dziejowej, droższej dla ogółu i lepiej wszystkim znanej. Wrażenie rosłoby wtedy i potężniało, podczas gdy dziś obraz pozostawia widza zimnym i obojętnym. Na skraju lasu, na polance wychodzącej nad rzekę, widnieje pochód z kilkunastu osób złożony. Rozpoczyna go lirnik, wyrazisty, smutny, doskonale malowany, dalej idą kobiety, paru chłopów i rycerzy, na ostatnim zaś planie widnieje bezkształtna plama, ze sterczącemi stopami, niesiona na ramionach. To zwłoki bohatera z pod Wielony, Gedymina. Grozy, smutku, napróżno widz by tu szukał; postacie zmniejszone do wielkości karłów nie czynią poprostu żadnego wrażenia. Zbyt małe twarze nie pozwoliły oddać wyrazu ich, złe zaś ugrupowanie i usunięcie właściwego pochodu na plan drugi, uczyniło to, iż uwaga rozstrzelona, skupia się nie na zwłokach Gedymina a na kończącem obraz zwierciadle wody, bo ta jasną swą powierzchnią najpierw oko uderza.

Drzewa i woda doskonale oddane, jakkolwiek obszar jej zbyt mały nie pozwala nam sądzić, czy to błękitny, święty Niemen lub jakie jezioro tylko. Wielona wznosi się nad Niemnem, ale we wzgórzystem, cudownem położeniu. Grób Gedymina wyniosły, królujący z daleka, nosi tu miano góry Gedymina; płaskie zaś brzegi rzeki oddane na obrazie, nie są chyba na miejscu portretowane. Ździwiły nas również cekiny błyszczące u fartuchów litewskich dziewoi, na szyi ich i włosach, cekiny bowiem przez lud polski nigdy nie były noszone; co do dziewek starej Żmujdzi, przyznajemy się do nieświadomości, być może iż strój wschodu nie był im obcy.

Patrząc na niektóre prześliczne szczegóły obrazu p. Alchimowicza, na pierwszą np. postać chło-

pa, stojącego na prawo, przychodzi nam raz jeszcze żałować zmniejszonych rozmiarów kompozycyi, co tak osłabia wrażenie pięknego utworu.

Słówkiem choćby musimy tu zaznaczyć dzieło Hakowskiego Józefa: **Sobieski pod Wiedniem**, wyrzeźbione w srebrze podług obrazu Matejki.

Olbrzymia praca i talent niezwykły, złożyły się na ten utwór niepospolity, ogólne budzący zajęcie.

Anatol Krzyżanowski.

WOLA.

PRZEZ

JERZEGO OHNET'A.

PRZEKŁAD

Bronisławy Kowalskiej.

(Dalszy ciąg.)

Pewnego popołudnia, gdy Emilia paląc papierosa, dawała rozmaite wskazówki Helenie, robiącej kopią jakiegoś perskiego półmiska, zdjętego ze ścian pracowni, rzekła z niechcenia do swej przyjaciółki:

— Jestem dość zadowoloną z twego portretu, widzę, że nie źle go odrobiłam... Jeśli pozwolisz poślę go do Petita na wystawę międzynarodową.

Helena podniosła głowę i kładąc pędzel rzekła:

— Uczyń jak ci się podoba, ale zdaje mi się, że mogłabyś posłać na wystawę jaki piękniejszy obrazek od mojego oblicza.

— Czy mówisz to szczerze, Heleno?... Chyba nie wiesz, że jesteś bardzo ładną?... Thauziat, który jest znawcą w tym względzie, mógłby cię o tem dokładnie objaśnić; skoro spotka się z tobą, oczu od ciebie oderwać nie może.

Lekki rumieniec przemknął po licu Heleny, lecz nie odrzekła ani słowa, Emilia zaś chcąc dokładnie zbadać zaciekawiającą ją kwestyę, tak ciągnęła dalej:

— Czy nie dostrzegłaś tego, że Thauziat kocha się w tobie?

— Jakto, przypuszczasz, że pan de Thauziat traciłby czas na zajmowanie się moją osobą?

— Bądź spokojną... Klemens jest przekonany, że naprożno nie traci czasu.

— Jeśli tak, to myli się bardzo — rzekła stanowczym głosem panna de Graville.

Westchnienie ulgi wyrwało się z piersi Emilii, nie miała żadnej wątpliwości co do tego, że Thauziat kocha Helenę i wiedziała, że nie może zabronić ukochanemu przez siebie człowiekowi uwielbiania innych kobiet. Kochała bez wzajemności niestety! Klemens zaś tak umiał się podobać, że mało która kobieta okazałaby się okrutną dla niego. Ale gdyby Helena go pokochała, cios ten byłby nad siły Emilii, ze wszystkich rywalek najgroźniejszą dla niej byłaby panna de Graville. Najbardziej zaś bolałoby ją to, że przyjaźń tak serdecznie zawiązana, musiałaby się zerwać, a przyjaźń Heleny niemniej ceniła od miłości Klemensa. Teraz Emilia uspokoiła się w zupełności, gdyż Helena oparła się urokowi i wyszła zwycięzko z niebezpiecznej próby. Emilia wiedziała, że dumna dziewczyna nie poniżyłaby się do kłamstwa i wierzyła święcie jej słowu.

Dowiedziawszy się tego co ją tak żywo zajmowało, Emilia zmieniła przedmiot rozmowy i nie było więcej między niemi wzmianki o Klemensie.

Zachęcona tem, że jej się tak dobrze udało z Heleną, Emilia postanowiła tak samo wybadać Klemensa. Wiedziała, że z nim trudniejsza sprawa niż ze szczerą i pełną ufności młodą dziewczyną, postanowiła więc czekać na przyjazną ku tej rozmowie sposobność. Czekała jednak niedługo. Pewnego dnia, gdy Klemens zaproszony na jakiś ceremonialny obiad do senatora, słuchał wieczorem cierpliwie śpiewu pani Olifaunt, która zabawiała gości zebranych w salonie, cudowną aryą z Cyda: „Płaczcie moje oczy”, wykonaną z większą przesadą niż talentem; Emilia korzystając z ogólnego zamieszania wywołanego oklaskami, jakiemi suto obdarzono piękną Angielkę, zbliżyła się do Klemensa i wskazując mu Diannę, rzekła żartobliwie:

— Tyle razy powtarzano jej, że ma w gardle skarb wartujący więcej niż kapitał stu tysięcy franków, i teraz usiłuje dowieść tego śpiewając jak można najgłośniej.

— Musi straszliwie cierpieć — odparł chłodno Thauziat, bo wydaje krzyki rozdzierające uszy.

— Zdaje mi się, że Ludwik nie dostatecznie ocenia przysługę, jaką mu oddałeś poróżniwszy go z naszą piękną, kochaną Dianną!

— A tak, siedzi sobie najspokojniej na przedmieściu Poissonière i nie troszczy się o nas wcale.

— Gdyby panna de Graville była przyjęła nasze zaproszenie i Ludwik znalazłby się tu z pewnością.

— Czy sądzisz pani, że on bez niej obejść się nie może?

— Podejrzywam, że silny uczuwa do niej pociąg a pani Hérault choć milcząco pochwala jego zamiary...

— Czyżby myślała o ożenieniu go z panną Heleną?

— A dlaczegóżby nie? Czy sądzisz, kochany przyjacielu, że Helena należy do rzędu tych kobiet z któremi nie można się żenić?

Thauziat milczał zadumany, zdawało się, że zapomniał o obecności Emilii, która nie śmiała przerywać jego myśli, chociaż byłaby oddała wiele za to, aby odgadnąć uczucia miotające duszą Klemensa. Po kilku chwilach milczenia Thauziat podniósł głowę i jakby prowadząc dalej przerwaną rozmowę, rzekł:

— Być może, że takiej właśnie trzeba mu kobiety... Jeśli ona potrafi oddziałać na niego, wszystko będzie dobrze.

— Zdaje mi się, że Ludwik dosyć podoba się Helenie — dodała z niechcenia Emilia.

Nagły płomień strzelił z oczu Klemensa a usta jego zacięły się gniewnie, lecz w tej chwili zapanowawszy nad sobą odezwał się spokojnie:

— Niech im tam Pan Bóg da wszystko dobre!... Niech będą szczęśliwi i mają dużo dzieci!

Poczem podniósł się z krzesła i Emilia nie dowiedziała się niczego więcej.

Jedna tylko pani Hérault nie ukrywała bynajmniej swoich myśli. Od pierwszej chwili nietylko pokochała ale nawet uwielbiała Helenę, bo też nikt w życiu tak ją nie kochał, nie pieścił i nie dogadzał jak panna de Graville.

Od najmłodszych lat przyzwyczajona do uległości, pani Hérault nie lubiła rządzić majątkiem ani domem; zajęcia te były dla niej istną pańszczyzną. Wielce też była uszczęśliwioną, zdając cały zarząd na pannę de Graville, która potrafiła nadać sobie powagę w obec służących, którzy ją kochali i obawiali jej się zarazem. Rozkazywała z wdziękiem i łagodnością a marszałek dworu, który był poważą w swoim rodzaju, mawiał o niej do pani Hérault:

— Wolę usłyszeć rozkaz od panny Heleny, niż prośbę od kogo innego.

Tak więc babcia przekonała się z zadowoleniem, że jej przybrana córka oczarowała wszystkich, nie dając nikomu uczuć swojej przewagi. Często też mówiła:

— Co jabym teraz poczęła bez Heleny?

I z pewnością, gdyby Ludwik wyznał jej swą miłość dla Heleny i prosił ją o pozwolenie ożenienia się z młodą dziewczyną, pani Hérault z uniesieniem przyjęłaby jego oświadczyny. Ale Ludwik powolny jak zwykle zadawalniał się szczęściem jakie mu sprawiała obecność panny de Graville i nie myślał o zmianie tego stanu błogości, którym ustawicznie teraz się rozkoszował. Należał on bowiem do rzędu tych ludzi co z trudnością przedsiębiorą jakieś postanowienie lecz raz coś postanowiwszy uporczywie trzymają się swego zdania bez względu czy ono na złą lub na dobrą zaprowadzi je drogę. Ludwik, przyznać trzeba, miał więcej skłonności do złego niż do dobrego i zawsze z większym zapałem zwracał się tam, gdzie sumienie i obowiązek iść mu odradzały.

Po rozmowie z Emilią, Klemens kilka dni nie pokazywał się wcale na przedmieściu Poissonière ku wielkiemu zdziwieniu mieszkańców pałacyku Hérault. Ludwik widywał się z nim wprawdzie u Lereboulleya i w fabryce w Saint-Dénis, gdyż spółka francuzko-amerykańska dotycząca przeprowadzenia liny przez Atlantyk, rozwijała się dalej pomyślnie. Senator po walnej naradzie z Klemensem postanowił razem z nim, z Ludwikiem i bardzo bogatym Amerykaninem niejakim Arturem Smithsonem, założyć bezimienną spółkę i wykupić prawie wszystkie akcye. Lina miała łączyć Brest z Panamą; przebicie międzymorza zapewniało stowarzyszeniu jeszcze większe korzyści.

Lereboulley zajęty myślą zadania stanowczego ciosu transatlantyckiej angielskiej spółce, tworzył najrozmaitsze projekta, układał plany i cieszył się, że pognębi Anglików, jakby w osobie jego współziomków miał również poniżyć i wstrętnego sir Jamesa. Lecz Thauziat wbrew zwyczajowi nie zajmował się interesami z właściwą sobie energią słuchał z roztargnieniem dowodzeń Lereboulleya, przywtarzając mu milczącem skinieniem głowy lub krótkiemi półsłówkami. Widać, że umysł jego zawsze tak bystry i trafnie oceniający rzecz każdą, teraz zwracał się w inną stronę.

Ludwik widząc jego obojętność nabrał większej pewności siebie i powiedział sobie w duchu, że Klemens nie jest tak silny, jak mu się z początku zdawało; nie domyślił się jednak burzy, której wynikiem było moralne znużenie jego przyjaciela.

— Mógłbym z nim walczyć i zwyciężyć go, nawet bez wielkiego z mej strony wysiłku — powtarzał sobie Ludwik z uśmiechem.

I zaczął tak lekceważyć współzawodnictwo Klemensa, że zapytał go, dlaczego bywa tak rzadko na przedmieściu Poissonière?

Thauziat spojrzał na niego ze zdziwieniem i ironią zarazem i rzekł spokojnie:

— Jeśli ci o to idzie, abym bywał, mogę to zrobić dla ciebie.

Hérault urażony wyzywającą postawą przyjaciela, rzekł pośpiesznie, aby go upewnić, że nie lęka się bynajmniej jego obecności:

— Wiesz dobrze, że babcia z upragnieniem wygląda zawsze twoich odwiedzin, teraz nawet więcej niż kiedykolwiek, gdyż wkrótce wyjedziemy do Boissise...

— Przecież i tam mogę was odwiedzać zarówno jak w Paryżu... i będę w Boissise skoro tylko powrócę z Insbruku.

— Jakto, wyjeżdżasz do Austryi?

— Tak, Ludwiku, odwiedzę księcia Wienitsgroetz, który już od kilku lat zaprasza mnie na polowanie.

Ludwik złudzony pozornym spokojem Klemensa powiedział sobie w duchu, że obawy jego były przedwczesne i że Thauziat ani myśli o Helenie, odetchnął więc swobodnie i naśmiał się w duchu z siebie.

Mylił się jednakże, gdyż właśnie teraz Klemens najbardziej zajęty był Heleną. Dumny i nie przywykły do oporu długo walczył z uczuciem różniącem się tak dalece od wrażeń jakim podlegał zazwyczaj. Sam względem siebie odgrywał rolę mądrego doradzcy, przedstawiając sobie w myśli wszystkie niebezpieczeństwa wypływające z podobnej myśli. Pamiętał doskonale słowa Emilii Lereboulley:

— Czy myślisz, że panna de Graville należy do liczby tych kobiet z któremi można się nie ożenić?

Małżeństwo, to krok niezmiernie stanowczy i Klemens nie mógł się nań tak szybko zdecydować. Gdyby szło tylko o przypodobanie się Helenie, o wykradzenie jej z domu pani Hérault i poświęcenie jej chwilowo wolności, Thauziat nie byłby się wahał ani chwili. I ani jęki Ludwika, ani oburzenie babci nie wzruszyłyby go z pewnością. Poświęciłby wszystko dla egoistycznego zadowolnienia. Nawet myśl o wszelkich nieprzyjemnych następstwach podobnego czynu, nie byłaby go bynajmniej przeraziła. Ale zmienić tryb życia i stanowisko w świecie, wyrzec się niezależnej przyszłości przez miłość dla kobiety, to zbyt wielkie poświęcenie!

Miotany bezsilnym gniewem szydził sam z siebie, klnąc się na duszę i ciało, że nie wyrzeknie się raz powziętych przekonań.

A więc musisz się wyrzec Heleny, szeptał mu rozum, lecz wtejże chwili cała jego istota oburzała się na samą myśl, że Helena może należyć do innego, że jej wysmukłą kibić inne otulać mogą ramiona, że jej wymowne oczy omdlewać będą w imieniu rozkoszy niepodzielanej przez niego. Te i tym podobne myśli dręczyły go niewypowiedzianie i nie dawały mu chwili wytchnienia, samotność stała się dlań nieznośną. Po uroczych, nęcących marzeniach wpadał w zniechęcenie i rozczarowanie, uciekał więc z domu i starał się zagłuszyć czemś i rozerwać. Lecz i wśród wiru zabawy wspomnienie Heleny nie opuszczało go ani na chwilę. Zdawało mu się, że wdzięczna postać pochyla się ku niemu z wyrzutem pytając:

— Dlaczego uciekasz ode mnie? Dlaczego mnie unikasz? Byłabym dla ciebie wierną towarzyszką życia, stałabym zawsze przy twoim boku, zachęcając cię do prawych, szlachetnych czynów. Wszystkie twoje zamiary byłyby mniej samolubne, gdybyśmy we dwoje starali się je spełniać a jak błogim stałby się tryumf gdybyś go ze mną podzielił!

Klemens naprożno usiłował odegnać tak uporczywie prześladujące go myśli. Od pewnego czasu zaczął częściej bywać u pani Olifaunt, której dom był rodzajem latarni magicznej w jakiej przesuwały się najrozmaitsze postacie, nastręczając mu rozrywkę tak pożądaną teraz dla niego. Odwiedziny u pięknej Angielki odrywały go nieco od ustawicznego zajęcia się Heleną.

Dianna ciekawa niezmiernie, chciała wybadać Klemensa o tem co widział i słyszał w domu pani Hérault, lecz Thauziat zbył ją kilku słowami z akcentem takiej niechęci, że nie śmiała pytać go natarczywiej. Znała doskonale Klemensa i wiedziała, że naprożno żądałaby czegoś wbrew jego woli. Z początku mniemała, że Thauziat zakochał się w nieznajomej, ale nie przypuszczała, żeby kochał bez wzajemności i przestała się tem zajmować. Dziwne zmiany humoru swego przyjaciela przypisywała trosce o interesa pieniężne, które w skutek ogólnej nędzy i stagnacyi nie szły może tak pomyślnie jakby się tego spodziewać należało a ponieważ sama pieniądz ceniła nad wszystko, niepokój Klemensa wydawał jej się aż nadto uzasadnionym. Lereboulley jednakże twierdził, że Thauziat nie miał się czego obawiać, gdyż kapitały jego były doskonale poumieszczane i jeżeli miał troski, to bynajmniej nie pieniężne.

Dianna usiłowała nawet być zalotną, aby trochę rozruszać Klemensa, lecz nie bardzo jej się to udawało. Klemens obchodził się z nią po przyjacielsku, bywał z nią na spacerach i w teatrze, nie troszcząc się o to gdzie idzie, Dianna zaś zadowolona z jego towarzystwa wymyślała najrozmaitsze przyjemności, które jej samej największą sprawiały rozkosz.

Jednego dnia około piątej po południu, Klemens i Dianna przejeżdżając powozem przez ulicę de Sère, spostrzegli afisze ogłaszające wystawę obrazów. Piękna Angielka objawiła chęć zwiedzenia takowej, wysiedli więc i udali się do artystycznego salonu, który stanowił własność prywatną i gdzie między dziełami malarzy z powołania znajdowało się mnóstwo utworów osób należących do najwyższych sfer towarzyskich.

Niektóre te dzieła większą nieraz miały wartość od dzieł pierwszorzędnych nawet malarzy i przynęcały bardzo wiele publiczności. Był to właśnie dzień otwarcia wystawy i tłumy osób zapełniały obszerne salony. Klemens i Dianna przechadzali się, przypatrując się obrazom a jeszcze bardziej publiczności.

Wkrótce spotkali kilka osób znajomych, które Klemens powitał ukłonem a Dianna powabnym uśmiechem, gdy w tem uwagę ich zwróciły wyrazy wypowiedziane głośno przez kogoś z pomiędzy gromadki osób, stojącej przed jakimś obrazem.

— To utwór panny Lereboulley.

Zaciekawieni przysunęli się bliżej i Klemens stanął zdumiony z okiem utkwionem w obraz. Z pośród czarnych ram wychylała się ku niemu twarz dobrze mu znana, promienne oczy i poważny uśmiech tej o której ani na chwilę nie przestał myśléć. Dianna spojrzała na niego z podziwieniem a widząc go zamyślonego i wpatrującego się z posępnym wyrazem twarzy w obraz, rzekła:

— Co ci jest, Thauziat? Cóżeś się tak zamyślił?

Thauziat nic nie odpowiedział. Zdawało się, że portret przykuwa go do siebie, pochłaniając wszystkie władze jego umysłu tak dalece, że oczu od niego oderwać nie może.

— Ah! więc to ta kobieta wywiera taki wpływ na Klemensa — powiedziała sobie w duchu pani Olifaunt — no, nigdybym nie przypuściła, że sam widok martwego płótna może go pogrążyć w niemem uwielbieniu. Czyżby w istocie miłość była powodem jego roztargnienia, którego przyczyny nie mogliśmy się domyśléć? Lecz kto jest ta nieznajoma? Emilia Lereboulley zna ją widać, ja jednakże nie przypominam sobie, abym ją kiedykolwiek widziała.

Zajęta temi myślami nie odrywała Klemensa od obrazu, przypatrując się przesuwającym tłumom, gdy wtem Thauziat wykrzyknął:

— Ah!

Pani Olifaunt usłyszawszy ten wykrzyknik obejrzała się i spostrzegła kobietę, której portret takie wrażenie uczynił na Klemensie. Szła ona w towarzystwie Emilii Lereboulley i Ludwika Hérault.

Klemens zbladł jak ściana, a Dianna szepnęła do siebie z uśmiechem:

— Teraz rozumiem już wszystko.

Zaledwie kilkanaście kroków oddzielało ich od Heleny, która zobaczywszy Thauziata z panią Olifaunt, zatrzymała się mimowolnie, Emilia zbladła a Ludwik spojrzał z trwogą na przyjaciela, który pomimo silnego wzruszenia pierwszy odzyskał przytomność i przysuwając się do Heleny rzekł z ukłonem pełnym szacunku:

— W tej chwili właśnie, podziwialiśmy portret pani, istotnie podobieństwo jest zdumiewające i szczęśliwy malarz, któremu wolno było przenieść je na płótno. Teraz, gdy porównamy oryginał z kopią, będziemy podziwiać twórcę obrazu, który umiejąc tak trafnie odwzorować rysy pani, dowiódł tem samem niepospolitych zdolności...

— Daj pokój, panie de Thauziat — przerwała Emilia — zgadzam się tylko na pierwszą połowę twego komplementu. Wolno chwalić piękność wzoru, co zaś do dzieła...

Tu Emilia przerwała mowę i udając, że w tej chwili dopiero spostrzegła Diannę, dodała:

— Ah! moja kochana pani Olifaunt, przepraszam, panią, żem ją odrazu nie zobaczyła... Ludwiku, pani Olifaunt...

Ludwik skłonił się w milczeniu, lecz Dianna nie zwróciła nawet głowy w jego stronę, pochłaniała wzrokiem tę, w której odgadła rywalkę, oczy jej przybrały ciemno stalową barwę, zaciśnięte usta drżały nerwowo. Postąpiła naprzód i rzekła zwracając się do Emilii:

— Proszę cię, moja droga, zapoznaj mnie z twoją przyjaciółką. Będzie to dla mnie wielka przyjemność poznania tak zachwycającej osoby, którą jak widzę bardzo kochasz...

— Zgadłaś, pani, kocham ją bardzo — rzekła groźnym niemal tonem Emilia.—Ale jeśli sobie tego życzysz, uczynię zadość jej żądaniu... Moja droga Helenko, pozwól przedstawić sobie panią Olifaunt, jedną z naszych najpiękniejszych kobiet... kochana pani, panna de Graville...

Zdawało się, że Dianna nie zwróciła uwagi na impertynencyę z jaką Emilia zmieniła porządek rekomendacyi, nie zaczynając od przedstawienia Heleny, ani też pogardliwego akcentu, z jakim panna Lereboulley nazwała ją: jedną z najpiękniejszych kobiet. Z uprzejmym uśmiechem wyciągnęła rękę do Heleny i rzekła miękkim głosem:

— Jakżem szczęśliwa, żem poznała panią! Jesteś pani przyjaciółką panny Lereboulley, będziemy więc mieli sposobność spotkania pani... A jakaż to dla mnie będzie przyjemność... nie umiem tego nawet wypowiedziéć.

Teraz dopiero kiwnęła głową Ludwikowi i przechodząc pomiędzy nim i panną de Graville szepnęła cicho:

— Winszuję panu.

W głosie jej tyle było szyderstwa, że Ludwik zadrżał niemile dotknięty.

Dianna ze złośliwym na ustach uśmiechem przez krótką chwilę popatrzyła na Helenę i Ludwika, następnie szepnąwszy jeszcze:

— W istocie, przedstawia się bardzo dobrze — ujęła ramię Klemensa, skłoniła się kobietom z głośnem „do widzenia" i oddaliła się zwolna.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

KORESPONDENCYA Z PARYŻA.

O UBIORACH.

1 Sierpnia 1888 roku.

Jak od lat kilku tak i teraz, w pierwszych dniach Lipca, korzystając z pociągów spacerowych, wyjechaliśmy na parę dni nad morze, aby przypatrzyć się ubiorom Paryżanek i zdać z nich sprawę czytelniczkom. Mody przyjęte u wód morskich rozbiegną się jesienią po świecie, klimat bowiem nad brzegiem oceanu, z wyjątkiem godzin południowych, przypomina chłodne podmuchy Września a nawet Października. Obraliśmy w tym roku normandzkie miasto Dieppe, gdzie świat paryzki zebrał się bardzo licznie. Szczęściem trafiliśmy na dzień pogodny, co dziś stanowi osobliwość, świeży wiatr powiewał jednak od morza.

W rannych ubraniach rozmaitość panuje wielka. Osoby nie wytrwałe na chłód, noszą kostyumy z szewiotu, serży i innych ciepłych tkanin, w kolorach: granatowym, wydrowym i oliwkowym; wśród tych odbijał kolor ceglasty *brique* i tak zwany *biche*, czyli skóry łosiej, bardzo modny w tym roku. Kostyumy te składają się zwykle ze spódniczki zupełnie gładkiej, z takiejże koszulki i z płaszczyka a raczej rotondy z tegoż samego materyału. Owa rotonda, na plecach przystaje do figury, poniżej rozszerza się znacznie, po bokach ma otwory zostawione na ręce, zamaskowane szerokim fałdem, u szyi stojący kołnierz, odwinięty od góry zwany *col roulé*.

Młodsze panie i panienki, w miejscu tych rotond przyjęły jerseye i żakietki. Oto cały szereg rannych kostyumów, odznaczających się gustem przy całej swej prostocie. Z pomiędzy nich ciemniejsze można spożytkować jesienią do wyjścia na ulicę, jaskrawsze zaś do domowego ubrania.

Pierwszy kostyum: Spódniczka błękitna z angielskiej flanelki, krajana prosto, przymarszczona dziesięć razy poniżej pasa. Na to jersey biały zachaftowany w błękitny groszek. Kołnierz do tego błękitny marynarski, podwiązany takąż krawatką. Kapelusik słomkowy, okrągły z wystającym daszkiem, przybrany wstążką błękitną.

Drugi kostyum: Spódniczka z flaneli popielatej w deseń drukowany, tworzący pierścienie ponsowe i granatowe. Żakietka granatowa wcięta w plecach, z przodu wolno puszczona, boki jej odwinięte na ćwierć łokcia, przytwierdzone rzędem szmuklerskich guzików. Kołnierzyk stojący, odwinięty, na nim z obu stron kotwiczka, wychaftowana ponsowym jedwabiem. Rękawy średniej szerokości, z mankietem ozdobionym takąż kotwiczką. Na głowę berecik z granatowej flanelki, ujęty w pasek biały na dwa cale zachaftowany w deseń granatowy.

Trzeci kostyum: Spódniczka z szerży popielatej przyfałdowana wkoło. Jersey biały zapięty w tyle, z przodu wycięty w literę V; pod spód plastron w poprzeczne paski białe z ponsowym. Kołnierz biały stojący, z przodu wyszyta kotwica. Na to żakietka w paski białe i ponsowe. Berecik biały ujęty w galon haftowany ponsowo.

Czwarty kostyum: Spódniczka szafirowa *bleu eclair*, jersey w poprzeczne paski czarne z białem; przód otwarty na szafirowym plastronie, ułożonym w lekkie fałdy. Kołnierz stojący *col roulé*, kapelusik słomkowy z wystającym rondem, w rodzaju kaszkiecika, przybrany aksamitką czarną.

Około południa ukazały się wytworniejsze ubiory, między nimi zwróciły uwagę naszą kostyumy, zwane *Directoire*, jakie noszono za czasów Dyrektoryatu, w końcu zeszłego wieku. Stanowią one zupełny przewrot w modzie. Widzieliśmy już podobne modele w magazynie panny Elizy Mery, możemy więc dać dokładny ich opis.

Wpadło nam w oczy w Dieppe, kilka takich kostyumów. Jeden w kolorze mchowym *mousse*, składał się ze spódniczki bengalinowej w drobne różnokolorowe prążki. Spódniczka ta z takąż szmizetką przymarszczona w pasie, żadnego nie miała garnirunku. Na to szła poloneza z lekkiej tkaniny wełnianej, przednie poły sięgały tylko do boków, odkrywając cały przód spódniczki. Stanik nie odcięty w pasie, zachodził więcej naprzód, lecz obie strony nie łączyły się, przynajmniej na ćwierć łokcia. W odstępie tym szedł pas *Directoire*, przytwierdzony z każdego boku dwoma jedwabnemi guzami, spuszczony w ząb jak bawet. W górze stanika były klapki odwrócone z jedwabnej materyi *faille* i takiż płaski kołnierz. Drugi kołnierz stojący, zapięty z boku, zakończał szmizetkę. Poniżej pleców przytwierdzone były głębokie kontrafałdy, z pośród nich wybiegał tylny bryt bengalinowy w paski, wszyty między bryty wełniane. Rękawy wązkie, miały mankiet z gładkiej materyi, kostyum to piękny i bardzo oryginalny. Dopełniał ubrania kapelusz słomkowy *Directoire* z rondem naprzód wysuniętem, podbitem czarną koronką. Główka przystrojona koronkowemi puklami i bukietem z różnokolorowych gwoździków.

Drugi kostyum tego rodzaju, strojniejszy od poprzedniego, miał spódniczkę różową, w odcieniu zwanym *rose passée* (róży zwiędłej), z lekkiej wełnianej tkaniny. Na to szła poloneza w kolorze rezedowym, szaro zielonkowatym. Poły jej otwarte szeroko, rozcięte były z obu stron do połowy. Stanik podobny do powyżej opisanego, różnił się tem, że zamiast klapek miał wielki kołnierz z mory rezedowej, wyłożony do połowy przodów i ścięty czworograniasto. Z pod otwartego stanika wyglądała szmizetka różowa, ujęta u góry w stojący kołnierz morowy. Kapotka ze słomki klarownej, przybrana egretką z róż i liści, dopełniała ubrania.

Inny znów kostyum w kolorze wydrowym z tkaniny wełnianej, pomieszanej z jedwabiem, składał się ze spódniczki prosto krajanej, przymarszczonej dokoła, naszytej u dołu pięć razy lekkim garnirunkiem złotym. Garnirunek ten odwracał się z lewego boku w górę wzdłuż spódnicy. Stanik gładki, otwarty, z pod otworu wyglądał bufowany plastron krepowy w tymże samym kolorze. Na to szła mała pelerynka, obcisła wkoło ramion, otwarta z przodu, przedłużona do końca stanu. Przytwierdzał ją pasek naszyty trzema rzędami galoników, spięty na wielką rozetę krepową. Rękawy dochodziły zaledwie do łokcia, poniżej dana buffa z krepy, ujęta w mankiet naszyty galonem. Kapelusik do tego czarny koronkowy bez końców, przybrany złotemi kłosami.

Na wieczornem zebraniu w Kassynie, uważaliśmy najwięcej sukien fularowych, albo z klarownej etaminy. Było też kilka czarnych koronkowych, na spódniczkach mienionych lub pekinowych w pasy. Ubranie panienek, składało się po większej części z sukienek półbatystowych, w rozmaitych jasnych kolorach, przeszywanych u dołu kilkoma rzędami wstawki koronkowej. Nikt z głowy nie zdejmował kapelusza, tego wymaga zwyczaj na podobnych zebraniach. Zwyczaj ten przecież nie stosuje się do głów męzkich.

Oto parę modeli, które szczególniej wpadły nam w oko:

Suknia z gładkiego fularu w kolorze błękitno zielonkowatym *bleu du lac*, rzęsisto przymarszczona do stanika, u dołu trzy wstawki białe koronkowe. Stanik otwarty, plastron biały koronkowy. Rękawy do łokcia, niżej buffa z koronki. Szarfa tegoż koloru jak suknia, przewiązana z tyłu na wielką kokardę. Kapelusik biały, słomkowy z pękiem lilii wodnych.

Druga suknia z klarownej etaminy popielato niebieskawej, na spódniczce fularowej koloru złotego. U dołu szeroka wstawka koronkowa, podwleczona wstążką atłasową w kolorze złotym. Wstawka ta przeciągnięta wzdłuż spódnicy z lewego boku. Stanik marszczony, otwarty; plastron koronkowy, na fularze złotawym, ujęty w kołnierz stojący. Rękawy szerokie, zakończone paskiem koronkowym. Szarfa *Directoire* z materyi koloru złotego, związana z boku na kokardę.

Uważaliśmy na jasnych sukniach szerokie szarfy czarne, niektóre obciskały stan wkoło, a potem odwrócone od tyłu, przechodziły poniżej i łączyły się z boku wielkim węzłem z końcami. Do takich szarf przyjęte rękawiczki czarne kozłowe i czarne jedwabne, ażurowe pończoszki.

Modne też czarne kołnierzyki, zwane *clown*, złożone z plisowanego tiulu w drobne muszki, z długim, przekręcanym żabotem, sięgającym do pasa.

Trzewiki mniej lub więcej wycięte, zastąpiły miejsce bucików. Kolor pończoch zastosowany zwykle do kostyumu.

S. D.

WIADOMOŚCI
Z RÓŻNYCH STRON.

O przytułku rzemieślniczym dla dziewcząt, następujące udzielamy objaśnienie:

Jeszcze w 1877 roku, dziś już nieżyjący Adam Goltz, naówczas członek komitetu Osad rolnych, na posiedzeniu z dnia 28 Października, podniósł potrzebę otworzenia co rychlej przytułków rzemieślniczych dla dzieci, dla których świeżo otworzony Studzieniec nie był miejscem odpowiednim.

Myśl ś. p. Goltza weszła w wykonie, a w d. 27 Stycznia 1883 roku, p. gubernator warszawski, przesłał Towarzystwu zatwierdzoną ustawę dla przytułków dla dzieci, od lat ośmiu zatwierdzoną w d. 23 Czerwca 1882 roku przez p. ministra spraw wewnętrznych.

Paragraf 1 tej ustawy mówi:

„Zadaniem przytułków rolniczo-rzemieślniczych jest pracować nad poprawą moralną małoletnich żebraków i dzieci pozbawionych przytułku, celem polepszenia ich losu w przyszłości," a nadto w uwadze dodano, że do takich przytułków mogą być przyjmowane i dzieci przez sądy skazane na skarcenie.

W paragrafie 3 zaś zamieszczono:

„Na mocy niniejszej ustawy, dozwala się otwierać w każdej gubernii Królestwa Polskiego po jednym przytułku dla chłopców i po jednym dla dziewcząt."

O otwarciu każdego przytułku komitet zawiadamia właściwą drogą ministra spraw wewnętrznych.

W dopełnieniu tej ustawy, ponieważ co do Studzieńca po za takąż ustawą Towarzystwo wydało od siebie instrukcyę, zażądano, aby przy otwieraniu „przytułków rzemieślniczych czy to w Orłowie, czy w innej miejscowości" (słowa reskryptu p. gubernatora warszawskiego z d. 23 Maja 1883 roku), zarząd przedstawił szczegółową instrukcyę, tyczącą się wewnętrznego urządzenia.

Ustawa tedy dozwalająca na otwarcie przytułku dla dziewcząt, jak z powyższego widzimy, już jest, idzie tylko o opracowanie instrukcyi, co pozwala się spodziewać, iż przytułek dla dziewcząt wkrótce już zapewne założonym zostanie.

O strasznych spustoszeniach, zrządzonych wylewem rzeki Żółtej w Chinach, podaje obecnie urzędowe sprawozdanie konsul brytański w Chinkiang, Oxenham. Miasto Chung zniknęło literalnie z powierzchni ziemi; gdy wody opadły, cała przestrzeń pokryta była 50 stóp grubym mułem. Miasto Cho-Chia-Kou również srodze ucierpiało; rząd musiał utrzymywać 65,000 osób. W ogóle przez powódź zginęło 1,600,000 osób a 5,000,000 osób skazanych jest na wsparcie publiczne. Pan Oxenham z najwyższem uznaniem odzywa się o sposobie, w jaki rząd chiński udzielał pomocy powodzianom.

Hodowla ostryg. P. Michał Girdwoyń zaprowadza obecnie w limanach dnieprowych hodowlę ostryg. W przedsiębierstwie tem mają przeważnie udział nasi kapitaliści. Ostrygi, hodowane w limanach dnieprowych, pod względem smaku nie ustępują podobno w niczem ostrygom holsztyńskim i ostendzkim, a znacznie są tańsze.

Na miejscu, gdzie wznosi się obecnie pałac w Friedrichsruh, w którym ks. Bismark zwykł przepędzać kilka miesięcy rocznie, stała dawniej oberża. Dominium to zostało ofiarowane ks. kanclerzowi przez Państwo, w 70 rocznicę jego urodzin. Służba publiczna wzbogaciła wprawdzie żelaznego księcia, a chociaż otrzymał w dziedzictwie po swych przodkach więcej długów niż majątku, dzięki szczodrobliwości cesarza Wilhelma I, środki jego materyalne odpowiadały najzupełniej wysokiemu stanowisku, jakie zajmował. Pomimo to podczas jego jubileuszu otworzono na rzecz jego subskrypcyę, jak niegdyś we Francyi dla Lamartine'a i z zebranej w ten sposób sumy odkupiono niektóre z jego dziedzicznych posiadłości, a między innemi Schönhausen. Państwo dodało do tego jeszcze Friedrichsruh z bardzo dochodnym lasem.

Pałac otoczony zewsząd drzewami, zachował pozór oberży. Ogród źle jest utrzymany, czyli raczej, wcale utrzymanym nie jest. Przed domem kawał uprawnego gruntu zastępuje tradycyonalny taras z fontanną, zdradzając praktyczny zmysł właściciela.

Umeblowanie wewnętrzne jest bardzo proste, jedyne cenniejsze sprzęty są te, które książę otrzymał z okazyi swego jubileuszu. Ściany obite są szarym jednostajnym papierem, który nie musiał kosztować drogo. Obrazy przedstawiają przeważnie epizody z wojny 1870 roku. Jeden z nich wyobraża obydwóch synów kanclerza Herberta i Wilhelma, strzelających do Francuzów pod Mars-la-Tour.

W sali jadalnej olbrzymie kufle do piwa, ekran do kominka, ofiarowany przez sułtana, parawan, wręczony przez ambasadę japońską, fortepian nadesłany... z Kanady i t. d.

Sypialnia księżnej odznacza się również wielką prostotą; obok w łazience stoi duża *drewniana* wanna.

Pokój kanclerza mógłby pod względem skromności urządzenia walczyć o lepsze z mieszkaniem Cyncynata; przy łóżku duża półka na flaszki apteczne, które ks. Bismark ma zawsze pod ręką. W gabinecie księcia pełno fotografii i portretów rodziny. Około dużego biura z dębowego drzewa stoi stolik do kart; na nim przybita miedziana płyta z napisem po niemiecku:

„Na stole tym podpisane zostały preliminaria pokoju pomiędzy Niemcami i Francyą, dnia 26 Lutego 1871 roku, w Wersalu, ulica de Provence, 14!"

A więc na stoliku, przeznaczonym do wista lub écarté rozegrała się stanowczo straszna owa partya z 1871 roku, w której grano kartami z życia setek tysięcy ludzi.

Wreszcie w sali audencyonalnej popiersie marszałka Moltke, postawione pomiędzy Beaconsfieldem i Thiersem; portret Thiersa, jest-to poprostu drzeworyt wycięty z „Monde illustré" i oprawny w małe drewniane ramki.

Takiem jest to mieszkanie, gdzie ks. Bismark przyjeżdża odetchnąć leśnem powietrzem, nie można bowiem powiedzieć, że szuka tu odpoczynku. Kanclerz nie zna go wcale.

W Październiku roku bieżącego, feldmarszałek hr. Moltke kończy 88 lat wieku; mimo to zachował jeszcze siły fizyczne i trzeźwość umysłu, co głównie zawdzięcza hygienicznemu trybowi życia. Na pogrzebie cesarza Fryderyka szedł pieszo 45 minut z zamku Friedrichskron do Friedenskirche, w pełnym mundurze, wyprostowany i opięty; podczas mów tronowych w parlamencie niemieckim i sejmie pruskim stał obok tronu, w ciężkim aksamitnym płaszczu kawalerów Czarnego Orła; Berlińczycy widują go codziennie, odbywającego długie spacery piesze w Thiergartenie, bez żadnego adjutanta. Latem i zimą wstaje codzień między godziną 6 a 7 rano, jada niewiele i to pokarmy najprostsze, przy obiedzie wypija tylko szklankę piwa; jedynym jego zbytkiem są dobre cygara. Mieszkanie feldmarszałka przy placu Królewskim, udekorowane pięknemi freskami, sztukateryami i gzemsami, mieści w sobie zwyczajne meble, dowodzące niewykwintnych gustów właściciela. W gabinecie do pracy długi stół zarzucony papierami, fotel i kilka krzeseł pokrytych skórą, obok szaf z książkami i planami, stanowią całkowite umeblowanie. Brak zbytkownych i kosztownych sprzętów, zastępuje w mieszkaniu hr. Moltkego obfitość powietrza i światła.

Ferdynand Lesseps wydał wielki bankiet, na cześć p. Antonio Flores, który będąc dotąd posłem Rzeczypospolitej Ekwator, został obrany jej prezydentem.

Oprócz jenerała Guzmana Blanko i innych dygnitarzy i znakomitości Ameryki południowej, uczestniczyli w bankiecie w hotelu Continental w Paryżu, deputowani, dawni ministrowie, finansiści a przedewszystkiem nuncyusz papiezki msgr. Rotelii, który drogą telegraficzną zapytał Ojca Św. o pozwolenie uczestniczenia w biesiadzie.

Prezydent Antonio Flores, popierał zawsze przedsiębierstwo Panama, za co podziękował mu Lesseps w gorących słowach, zaznaczając, iż olbrzymie dzieło wkrótce zostanie skończone.

Ostatni toast wypowiedział nuncyusz:

„Panowie — rzekł — piję za zdrowie pana Antonia Flores, wybitnego dyplomaty, szczerego i sympatycznego przyjaciela Francyi.

„Piję na cześć zgody wszystkich ras łacińskich, na cześć urzeczywistnienia pokoju międzynarodowego.

„Piję za zdrowie wielkiego Francuza, który połączywszy morze Śródziemne z Czerwonem, niezadługo przetnie nowy świat Krzysztofa Kolumba na dwie wielkie połowy, aby przyspieszyć urzeczywistnienie ideału chrześciańskiego.

„Jeden świat, jedna rodzina."

Carmen Sylva, królowa rumuńska, napisała wierszami na śmierć cesarza Fryderyka III alegoryę, w której uczciła zmarłego monarchę jako bohatera, męczennika i najczulszego z ojców i mężów. Królowa przesłała tę poezyę, własnoręcznie przepisaną cesarzowej Wiktoryi, prosząc ją aby „połączyła łzy poetki ze swojemi." Cesarzowa-wdowa była głęboko wzruszona utworem królowej i pisząc do niej z podziękowaniem, oświadczyła, iż pierwszemi łzami, sprawiającemi jej ulgę, płakała, czytając te wzniosłe wiersze. Poemat Carmen Sylvy nie będzie wydrukowany, pozostanie on jako podarunek ukoronowanej poetki, ofiarowany wdowie po Fryderyku III.

Rząd perski buduje kolej żelazną z Mahmondabadu nad morzem Kaspijskiem, do 25 mil głębiej we wnętrzu kraju położonego Amolu. Na przestrzeni kilku mil szyny już są ułożone, a parowozy przebiegają po nich. Te ostatnie są dla krajowców przedmiotem bezustannego zdumienia i żywego interesu. Nawet po kilkotygodniowej obserwacyi nie mają oni najmniejszego pojęcia o sile tego ogniem zionącego potworu. Skoro nadjeżdża lokomotywa, krajowcy dla bezpieczeństwa cofają się szybko kilkaset kroków w tył, a następnie wydają głośny krzyk. Przeszło 200 robotników jest obecnie zatrudnionych przy budowie tej pierwszej kolei perskiej. Najwięcej pomiędzy nimi Włochów; reszta należąca do innych narodowości, była dawniej zatrudniona przy budowie kolei Transkaspijskiej. Nowa kolej budowana jest wyłącznie w celach handlowych. Wiele trudności sprawia wyładowywanie materyałów budowlanych, ponieważ woda w porcie bardzo jest płytka. Nawet małe parowce jedynie na trzy mile do wybrzeża zbliżać się są w stanie. Mimo to, budowa dość szybko postępuje naprzód. Od rezultatu tej pierwszej linii zależeć będzie budowa dalszych kolei żelaznych w Persyi.

Olbrzymi globus, dla którego wzniesiony zostanie specyalny budynek, postanowili zrobić na przyszłoroczną wystawę paryzką pp. Villard i Chotard. Ponieważ ziemia ma 40 milionów metrów obwodu, przeto globus ten będzie miał obwodu 40 metrów, a średnicy 13. Wielkie miasta jak Paryż

i Berlin, zajmą na globusie około jednego kwadratowego centymetra przestrzeni. Globus podobnie jak ziemia, za pomocą specyalnego mechanizmu obracać się będzie o oś swoją raz na 24 godzin.

☞ **Śnieg w Lipcu.** Doliny Karyntyi przedstawiają zupełnie zimowy krajobraz; od kilku dni wszystko dokoła pokryte śniegiem, temperatura wynosi 4 stop. wyżej zera. W całej Anglii panują od dni kilku dotkliwe zimna; zbiór ziarna prawie zupełnie przepadł. W górach szkockich spadły obfite śniegi, w niektórych miejscowościach śnieg leży na sześć cali wysoko. Z Portsmouth donoszą również, iż upadł śnieg. W kąpielach morskich wszędzie pustki, ludność nadbrzeżna dla której sezon kąpielowy jest kopalnią złota, ponosi dotkliwe straty.

Z ludzi nudzących się, to:

Anglik pali sobie w łeb, jeżeli ma go jeszcze.

Francuz śpiewa i tańczy.

Hiszpan modli się i wzdycha.

Włoch zajada makaron i do snu się układa.

Turek milczy jeszcze uporczywiej jak zwykle.

Niemiec podwójną porcyą wypija piwa.

Amerykanin zajmuje się układaniem jakiej dziennikarskiej kaczki, coby przeszła wszystkie inne ekscentrycznością.

Szwajcar strzela do celu.

Żyd myśli o nowem oszustwie, któreby z kodeksem karnym dało się pogodzić.

Polak nie nudzi się nigdy, bo go trzeźwią kłopoty.

Węgier wreszcie klnie i wąsa kręci.

* * *

Sara Bernhardt, jak donoszą dzienniki zagraniczne, pogodziła się w tych dniach uroczyście z mężem swoim p. Jakóbem Damala w Marsylii. Przybywszy do Paryża połączeni ponownie małżonkowie wydali przyjaciołom swoim wielki bankiet, na którym Aleksander Dumas, przy wetach podniósł się z kieliszkiem szampana w ręku i wskazując na pana Damala, wychudłego jak szkielet, podczas pobytu w Grecyi, rzekł:

— Niech żyją małżonkowie, którzy teraz znów stali się jedną kością!

* * *

Na czasie. Z okazyi sezonu wyścigowego, podajemy naszym paniom wypróbowany sposób powstrzymania swoich małżonków od zbyt hazardownych sportmańskich zakładów. Pewien hrabia, przybywszy w roku zeszłym na wyścigi do Zurichu, przegrał 300,000 fr. Nie zmniejszyło to jednak jego namiętności do ryzykownych zakładów. Żona chcąc przeszkodzić rujnującej zabawce męża, wysłała na następne wyścigi niańkę z dwuletnim ich synkiem i mamkę z maleńkim dzieciątkiem w poduszce. Hrabia mając dzieci przed oczami, powstrzymał się od gry zupełnie.

* * *

Oryginalny pojedynek. Albert Delpit, znany powieściopisarz francuzki, umieścił niedawno w Figarze artykuł p. t. „Les dessous du théâtre", w którym wystąpił w obronie Coquelina, przeciw aktorowi Febvre, którego przedstawia jako złego ducha domu Molière'a, jako intryganta, uosobienie chciwości władzy i próżności, a nadto i to już zupełnie niesprawiedliwie, jako miernego aktora. Oczywiście artykuł ten wywołał kwasy między Delpit'em a Febvre'm, które objawiły się niejednokrotnie w słowach, przy różnych okazyach i w końcu doprowadziły, jak donosi Gaulois, do tego, iż przeciwnicy posłali sobie sekundantów. Do zgody nie przyszło i pojedynek odbył się w tych dniach, a wspomniane pismo ogłasza z całą powagą zwykły, przez świadków podpisany protokuł. Według tego protokułu postanowiono, aby najpierw Delpit swemu przeciwnikowi odczytał pięcioaktową sztukę, przeznaczoną do Komedyi Francuzkiej, poczem znów Febvre będzie miał prawo odegrać Delpit'owi kolejno role: Saltabadil'a, Clarkson'a, Richelieu'go i don Fabrycyusza. Walka miała być skończona z chwilą, gdy jeden z przeciwników okaże znużenie. Zanim Delpit zdołał skończyć czytanie 4-go aktu swego dramatu, Febvre ziewając wyciągnął doń rękę na zgodę i oświadczył, iż uważa się za zwyciężonego.

RÓŻNE MYŚLI.

Powodzenie towarzyszy człowiekowi wielkiemu.

Napoleon I.

ZAWIADOMIENIA.

PRZYJACIEŁA DZIECI

numer 31 wyszedł z druku i zawiera:

Z dawnych czasów. — Kobieta z pokolenia Mangatsza (drzeworyt). — Obrazki z życia wiejskiego (wiersz). — Wspomnienia z podróży Jana Grudziaka po Ameryce (z drzeworytem).—Opowiadanie z historyi Rossyi. — Kościół w Bieniszewie w powiecie Słupeckim (drzew.). — Słowik i Skowronek (wiersz). — Czyny nauczające. — Dwie siostry. — Z prawdziwych wydarzeń. Dodatek: Pobyt Olesia na wsi. — Rodzinne kłótnie (wiersz). — Palikopa (z drzeworytem). — Zgodni braciszkowie (wiersz). — Skąpiec. — Zadania i łamigłówki.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

Дозволено Цензурою, Варшава, 21 Іюля 1888 г. **Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego.** Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy).

Dodatek.